

Słowo i znak

Summary

The author claims that the word *sign* is not idiomatically applicable to linguistic expressions (apart from certain technical terms such as *diacritic signs*). Therefore, in the framework of postulated natural language idiomaticity of terminology, the following interrelations are to be considered incorrect: 1. identity of range of 'linguistic expressions' and 'signs', 2. inclusion of the latter in the former, 3. inclusion of the former in the latter, 4. intersection of the former and the latter. The correct relationship between the former and the latter is that of disjunction. On the other hand, there is a kind of analytic entailment between signs as the antecedent and linguistic expressions as a consequent: this is the fact that any idiomatic sign unilaterally involves the use of some linguistic expressions whereby the sign is introduced without the reverse of it being valid. In this perspective, any attempt at finding a generalization covering signs and linguistic expressions as placed on an equal footing, especially when the role of "common denominator" is assigned to 'sign', leads to absurdities (in particular, to a destructive infinite regress).

The author closes his article with a commentary on the history of views concerning "signs" and their possible scopes as envisaged by different scholars.

Streszczenie

Autor twierdzi, że wyraz *znak* nie jest idiomatycznie stosowany do wyrażen językowych (poza pewnymi terminami technicznymi, takimi jak *znaki diakrytyczne*). Dlatego przy założeniu postulowanej naturalno-językowej idiomatyczności terminologii następujące relacje wypada uznać za błędne: 1. identyczność zakresu 'wyrażen językowych' i 'znaków', 2. inkluzję tych ostatnich w tych pierwszych, 3. inkluzję tych pierwszych w tych ostatnich, 4. przecięcie obu klas. Poprawny stosunek wzajemny obu klas to ich rozłączność. Z drugiej strony istnieje pewna implikacja analityczna między znakami jako poprzednikami a wyrażeniami językowymi w roli następnika: chodzi o to, że każdy idiomatyczny znak wymaga jednostronnie użycia jakichś wyrażen językowych, które ustanawia znak, podczas gdy nie ma zależności odwrotnej. W tej perspektywie każda próba znalezienia generalizacji obejmującej znaki i wyrażenia językowe jako stojące obok siebie na równej stopie, zwłaszcza

wtedy, kiedy rola „wspólnego mianownika” ma przysługiwać ‘znakowi’, prowadzi do absurdów (w szczególności do destrukcyjnego regresu nieskończonego).

Autor zamyka artykuł komentarzem na temat historii poglądów dotyczących „znaków” i ich możliwych zakresów, tak jak było to widziane przez różnych uczonych.

Moja poniższa wypowiedź, osnuta na krótkiej prelekcji w Instytucie Lingwistyki Stosowanej UW, którą mogłem zrealizować dzięki uprzejmemu zaproszeniu Profesora Gennadija Zeldowicza (jestem mu za nie wdzięczny – obok wielu innych przedmiotów mojej dla niego wdzięczności), ma na celu jedynie zwięźle wysłowienie pewnej bardzo ogólnej tezy teoretyczno-terminologicznej dotyczącej koncyptowanej przez pewnych uczonych dziedziny „semiotyki” jako „nauki o znakach”, koncyptowanej w taki sposób, że lingwistyka stałaby się jej częścią właściwą. Tezę tę zgłaszałem już wcześniej w pewnej, dość rozbudowanej, formie. Chodzi mi o mój łatwo dostępny artykuł z roku 1988. Nie ma więc potrzeby powtarzać wszystkich szczegółów. W zasadzie moim celem obecnie jest powtórzenie, w nieco odnowionym sformułowaniu, rzeczy dawnej.

Moja wypowiedź będzie komentarzem do poprawionego i rozszerzonego tekstu handoutu rozdane go słuchaczom wspomnianej przed chwilą prelekcji.

Podam naprzód ten poprawiony tekst, a następnie rozwinę jego główną myśl, do której mam przekonanie, wyjaśniając też nieco bliżej niektóre punkty mojej skrótowej prezentacji.

Oto zapowiedziany tekst:

I. Zastosowanie nazwy *znak* (bezproblemowo odnoszącej się do semafora, trupiej główki na słupie trakcji elektrycznej, dystynkcji wojskowych, logo, znaków drogowych itd.) do wyrażen języka naturalnego, a nawet do wyrażen języków sztucznych, czy to takich jak esperanto, czy też takich jak symbole w jakimś rachunku logicznym lub matematycznym, jest sztuczne (inaczej już jest z „językami”, by tak rzec, metaforycznymi, takimi jak „język kwiatów”; by posłużyć się tym ostatnim przykładem, możemy w tym wypadku rzeczywiście w sposób niewymuszony powiedzieć, że jakiś kwiat, np. podarowany, jest symbolem lub znakiem miłości, a bukiet jaśminów na publicznym zgromadzeniu w Pekinie był znakiem poparcia dla opozycji wobec

reżymu – wzorem „jaśminów tunezyjskich”). Wyjątkami w odniesieniu do owej sztuczności są pewne ustalone, i w tym sensie oczywiście nie sztuczne, zwroty specjalistyczne w językoznawstwie: np. *znaki przestankowe*, *znaki diakrytyczne*, a także niekiedy poza językoznawstwem, por. *znaki monetarne* (o pieniądzach normalnie nie mówi się „znak”; komu przyjdzie do głowy powiedzieć, że ma w kieszeni kilka cennych znaków, a mianowicie 5 srebrnych monet i dwa banknoty studolarowe?). O takich obiektach mówi się jednak jako o „znakach” tylko skrótowo, na zasadzie metonimii (np. *znaki przestankowe* to *interpunkcja*, pewna kategoria wyrażenń o tak właśnie umownie zbudowanej nazwie, która jest zresztą tylko jedną z nazw tej samej rzeczy); „znakowość” jest tu tylko etymologiczna, jak „maślaność” w zwrocie *masło roślinne*. Poza tymi szczególnymi wypadkami o wyrazach, zwrotach i, ogólnie, wyrażeniach języka naturalnego ogół nie mówi: *znaki*; mówi nade wszystko: *słowa*. Najogólniejszym terminem technicznym, obejmującym także wspomniane znaki przestankowe lub diakrytyczne, jest wyrażenie *wyrażenie* (raczej normalne jest nazwanie nawet „głoski” lub „dźwięku [językowego]”, nie mówiąc już o literze, „wyrażeniem [językowym]”).

II. Jeżeli założymy, że podany wyżej skrótowo opis idiomatycznego użycia wyrazów *znak*, *język* jest trafny – jako odbijający to, co jest rzeczywiście powszechnie przyjęte i poprawne – wypada uznać za wadliwe następujące ujęcia relacji „*język* (ściślej, *wyrażenia języka*) – *znaki*”:

1. równozakresowość *j*, *z*,
 2. inkluzja *j* w *z*,
 3. inkluzja *z* w *j*,
 4. przecięcie *j*, *z*,
- gdzie *j* = wyrażenia języka, *z* = znaki.

III. Przy *sztucznym* rozumieniu *znaku* jako ‘tego, co **dodane** przez mówiących *jako mówiących* do tego wszystkiego w Rzeczywistości, co jest niezależne od mowy’, i przy raczej oczywistym założeniu, że wyrażenia językowe są *również* tak właśnie dodane – wskazana w p. II teza 2. *jest mimo wszystko do przyjęcia*. Jest ona mianowicie do przyjęcia w sensie opierającym się na implikacji analitycznej $j \Rightarrow z'$, gdzie z' jest rozumiane jako nosiciel pojęcia właśnie sformułowanego (a nie jako idiomatyczny „znak”, funkcjonujący w zgodzie z takim ogólnym obyczajem, który każe w zwykłej komunikacji mówić o tzw. światłach

ulicznych „znaki” i który w teźże zwykłej komunikacji zakazuje mówić o wyrazie *koń* „znak”). Ale trzeba podkreślić, że taką prawdziwą tezę analityczną uznamy *tylko* we wskazanym, sztucznym, sensie.

IV. Natomiast przy założeniu idiomatycznego użycia wyrazów *znak*, *język/wyrażenie* (językowe) trafna jest teza głosząca *rozłączność j, z*. Wynika ona z uznania podanej w p. II negacji każdego z ujęć 1.– 4.

V. Ale trafną i ważną tezę jest także inna teza, a mianowicie teza głosząca **rozłączność j, z wraz z ich szczególnym powiązaniem** – nadal przy założeniu idiomatycznego użycia wyrazów *znak*, *język*. Taka teza wynika z jednoczesnego uwzględnienia niżej wskazanych relacji *j, z* (jako tak właśnie, tzn. idiomatycznie, rozumianych wielkości). Oto te relacje:

$$\forall \mathbf{x} (\mathbf{Zx} \Rightarrow \sim \mathbf{Jx}) \wedge (\mathbf{Jx} \Rightarrow \sim \mathbf{Zx})$$

$$\forall \mathbf{x} \in \mathbf{J} \quad \forall \mathbf{y} \in \mathbf{Z} \quad \sim (\exists \mathbf{x} \mathbf{Jx} \Rightarrow \exists \mathbf{y} \mathbf{Zy})$$

$$\forall \mathbf{x} \in \mathbf{J} \quad \forall \mathbf{y} \in \mathbf{Z} (\exists \mathbf{Zy} \Rightarrow \exists \mathbf{x} \mathbf{Jx})$$

Wykluczamy tu naprzód równoważność logiczną *j, z*, a więc ich równozakresowość. Wykluczamy dalej zależność jednostronną *j* od *z*, a tym samym obecność (jakiegoś) znaku wszędzie tam, gdzie jest obecne wyrażenie językowe. Natomiast ostatnią, *pozytywną*, implikację interpretujemy nie jako głoszącą inkluzję (idiomatycznych) znaków w stosunku do ogółu wyrażen językowych, tzn. nie jako implikację głoszącą status znaków polegający na tym, że miałyby one stanowić podzbiór właściwy ogółu wyrażen (rzecz szokująco absurdalna), lecz jako implikację głoszącą niemożliwość obecności znaków, których zbiór jest skądinąd ściśle rozłączny wobec wyrażen, bez obecności tych ostatnich wielkości, tj. wyrażen, wielkości rozumianych jako całkowicie odrębne i niezależne od (idiomatycznych) znaków.

VI. Przyjmując to, co zostało powiedziane w p. V, musimy uznać objęcie (idiomatycznym) pojęciem ‘znaku’ wyrażen językowych nie tylko za nietrafne, lecz nawet za absurdalne. Wymagałoby ono bowiem uznania istnienia jakiejś własności „średniej” przysługującej *na równi* obiektom, do których odnosi się *niezależne* implicatum (przy implikacji *jednostronnej*), a więc wyrażeniom językowym, jak i obiektom, do których odnosi się *zależny* od nich (od wyrażen językowych) ich (zaledwie) implicans, a więc zwykłym znakiem. To zaś implikuje

sprzeczność: obiektowi – nosicielowi owej średniej musiałoby przysługiwać *naraz* coś, co *jest właściwe* wyłącznemu implicansowi (np. znakowi drogowemu) i coś, co *nie jest mu właściwe* (bo „i m p l i c a t a jednostronne”, które nie są implicansami, mianowicie wyrażenia językowe m u s z ą być tej własności, własności bycia *tylko implicansem* [we wskazanej implikacji], pozbawione).

Jako paralełę uzmysławiającą cały ten układ można podać (wykorzystane przeze mnie w artykule (1988)) dziwaczne pojęcie ‘obiekту ssania [ze strony noworodka]’, które miałyby się niejako wznosić nad mlekiem, piersią matki i matką (ze względu na poprawne konkatencje: *ssie mleko*, *ssie pierś matki*, *ssie matkę*). Musiałoby ono przewidywać, że ten obiekt zarówno jest mlekiem, ponieważ nie ma ssania [tego, o które tu chodzi] tam, gdzie nie ma mleka (choć piersi i matki może nie być; może być na przykład tylko mamka), jak i nim nie jest, ponieważ ani matka, ani pierś matki nie jest mlekiem. Oczywiście takie „uśrednienie” treści ‘obiekту ssania’ prowadzi donikąd.

Inaczej mówiąc, *tworzące* znaki słowo, Humboldtowska *energia*, zostaje w jego „znakowej” wizji zdegradowane do czegoś pośredniego między sobą samym a *swoim* własnym *wytworem* (jakim jest idiomatyczny znak); staje się ono tutaj niejako „cieniem własnego cienia”. Czy miałyby sens rozjaśniać ‘zboże’, wraz z ‘chlebem’, za pomocą ‘ziarna (zbóż)’ – jako tego, co tkwi w chlebie? A więc ostatecznie w zbożu widzieć nade wszystko chleb? Zboże dostarcza materiału dla chleba, to prawda; ale daje sobie ono radę i bez niego.

VII. Można jeszcze rozważać ewentualne arbitralne wykorzystanie etykiety *znak* dla wprowadzenia dysjunkcyjnego pojęcia obejmującego wszystko, co jest wyrażeniem *b q d ż* „znakiem – nie-wyrażeniem”. Ale żadne pojęcie dysjunkcyjne nie może być ostateczne: gdyby jednym z alternantów mogła być *zawsze* wielkość określona ponownie za pomocą dysjunkcji cech, popadlibyśmy w destrukcyjny regres nieskończony.

Jednym z wariantów takiego pojęcia dysjunkcyjnego jest quasi-pojęcie „własno-imienne”, tzn., szerzej, „lingwistyczne” (w sensie niegdyś precyzowanym przez L. Petrażyckiego). Ten status pojęciowy dotyka niestety także ‘znaku’ w jego rozpowszechnionym uzusie semiotycznym: znakiem w tym ujęciu okazuje się każdy obiekt odznaczający się *jakąś* cechą nielingwistyczną, a ponadto taki, że zostaje *nazwany*

(przez kogoś konkretnego lub przez jakieś grono takich osób) *znakiem* (podobnie jak zbiór *Adamów* to zbiór wszelkich nosicieli imienia *Adam* odznaczających się ponadto tym, że każdemu z nich przysługuje alternatywa najrozmaitszych cech innych niż bycie oznaczanym wyrazem *Adam* [cech różnych w przypadku każdego odpowiedniego denotatu w jego zestawieniu z innymi denotatami wyrazu *Adam*]).

[Możliwe jest wreszcie, poza wszystkim, co zostało omówione, użycie wyrazu *znak* jako formy dla jakiegokolwiek *dowolnie* dobrego pojęcia [np. dla ‘wystającej części jakiegoś obiektu materialnego’; por. w tym związku wyraz *wihajster*]; ta oczywista możliwość pozostaje jednak poza kręgiem naszego aktualnego zainteresowania].

VIII. Sedno całej sprawy, o jaką tu chodzi, jest takie.

Istnieje **hierarchia** tego, co zawiera się *ostatecznie* w *Rzeczywistości sensu largo*. W tej hierarchii najniższe, tzn. najbardziej wszechobejmujące (i dlatego właśnie, w określonym sensie „najwyższe”), są te oto zespolone wielkości: robienie i wiedza.

Te albo są „bezpośrednie/bezpośrednio dane” (inaczej niż cofnięcie ręki przy sparzeniu, które też właśnie *nie* jest robieniem), albo ich w ogóle nie ma. Tymczasem ewidentnie **istnieją** one. A więc są bezpośrednio.

Wiedza o powiązaniach rzeczy wiedzianych stanowi **podstawę** niekontrowersyjnych, idiomatycznych „znaków”; te są zawsze „pośrednikami”. A zatem sama owa wiedza nie może do nich (do tych „pośredników”) należeć.

Teraz: wiedza o **alternatywach** – jako o czymś, *o czym* się coś wie – nie istnieje bez języka/wyrażeń. Więc wyrażenia nie mogą być czymś pośrednim.

Ergo: wyrażenia mają naturę **zasadniczo** różną od niekontrowersyjnych „znaków”.

Te ostatnie inherentnie powstają z nie-znaków i zawdzięczają swe powstanie – wyłącznie owym wielkościom wcześniejszym, a mianowicie robieniu i wiedzy, połączonym w *mówieniu*, ściślej, w *mówieniu*, *że*. Znaki są powoływane do życia przez mówienie, w ostatecznym rozrachunku przez mówienie, że ... Nie mogą więc same należeć do mówienia ani mieć mówienia za siebie podporządkowanego – pod grozą destrukcyjnego regresu nieskończonego.

A teraz mój komentarz do podanych wyżej tez.

Od niepamiętnych czasów w rozmaitych wcieleniach, zwłaszcza greckich i łacińskich (nade wszystko w usankcjonowanej przez św. Augustyna postaci werbalnej: *signum*), a dalej, we wcieleniu francuskim, angielskim, niemieckim itd., funkcjonowała w odniesieniu do języka i wyrażen językowych nazwa *znak*. Miała ona jakoś przejaśniać zjawisko, które w gruncie rzeczy jest dla ludzi (ogólniej: mówiących), nawet jeżeli mamy tu do czynienia z paradoksem, najbardziej tajemnicze, najbardziej osobliwe: mowę. Jest to paradoks, bo owo zjawisko zarazem *konstytuuje* samych tych, co jego przejaśnienia szukają, tzn. mówiących. Ta nazwa, *znak*, miała pozwalać na lepsze zrozumienie wyróżnionego, a tak osobliwego, działania, jakim jest ich własna mowa z jej niezwykłymi, wspólnymi członkom tych czy innych grup lub gromad ludzkich, narzędziami *słownymi*. Te powszechnie były i są nazywane bynajmniej nie *znakami*, lecz *słowami*, *logoi*, *verba*, *words*, *Worte/Wörter*, *mots* itd. Skoro zaś narzędzia te są normalnie, na co dzień, nazywane inaczej niż za pomocą miana *znak*, to określenie ich w rozrządaniach teoretycznych jako „znaków” obiecywało właśnie jakieś autentyczne rozjaśnienie zagadki: bo zewnętrznie ten zabieg definicyjny jest bardzo daleki od przysłowiowego „masła maślanego” (por., dla kontrastu, wyobraźalne objaśnienie od razu robiące wrażenie pustego dziwactwa: „wyraz to słowo” lub „słowo to wyraz”; por. też: „stróż to dozorca”, „dozorca to stróż”). Na dodatek przywołanie nazwy *znak* umieszczało wyrażenia językowe w szerszej płaszczyźnie, jak ogólnie przystoi wysiłkom teoretycznym, eksplanacyjnym: podsuwało ono myśl o pokrewieństwie wyrażen ze świetnie znanymi zjawiskami naturalnymi rzeczywiście opatrywanymi także nazwą *znak*, takimi jak (wspominany już przez św. Augustyna) dym w stosunku do ognia. Wyrażenia językowe miały być częścią wielkiego świata znaków z jego wstępną, naczelną bifurkacją przewidującą wielki dział *signa naturalia* przeciwstawiony wielkiemu działowi *signa data*. Wprawdzie ta *differentia specifica* – „data” – kryła w sobie rozszarpiący całe wyjaśnienie dynamit; bo od razu powstawało pytanie: *jakim sposobem* człowiek sobie pewne znaki *dał* (w odróżnieniu od dymu zwiastującego ogień, który to dym, oczywiście wraz z ogniem, przychodzi po prostu „sam”, nie jest „dany” przez człowieka)? Jakich środków w tym celu użył? Jeżeli użył w tym celu jakichś *signa naturalia*, to może uzyskane w ten sposób *signa*

data już były w gruncie rzeczy zastane, gotowe, a więc naturalne właśnie? A wówczas powstaje problem: jak *signa non data* (*non data a homine*, przez człowieka! ogień i dym są przecież również w pewnym sensie *data*, mianowicie *a Deo*, przez Boga, jak syn św. Augustyna, Adeodatus; ale nie o *takie* „danie” chodziło) mogą być jednocześnie *data*? Jeżeli zaś przyjmujemy, że człowiek użył w tym celu jakichś autentycznych *signa data*, to otwiera się przed nami przepaść nieskończonego ciągu *signa data*. Myśl o takim ciągu znowu prowadzi nieodstępnie do wielce niepokojącej myśli o *signa data ac non data*. Zapytajmy więc: jakie jest ogólne remedium na tak kłopotliwe, przykre niepokoje, remedium, które mogło być także i tu przyjść ludziom w sukurs? Odpowiedź jest na podorzędziu. Tysiącletnie doświadczenie podsuwa jednoznaczną radę, jak się pozbyć udręki: p r z y m k n ą ć o c z y. Jakoż niemal powszechnie również w pozbywaniu się opisanego *tu* kłopotu korzystano z tej dobrze sprawdzonej pomocy. Sprawę zamykał zaś ostatecznie inny niezawodny proceder socjotechniczny: nieustanne mechaniczne powtarzanie przez masy stosownych „autorytatywnych” formułek („– Kto ty jesteś? – Polak mały” — „– Co to język? – System znaków”).

Fakt obecności *signa naturalia* obok *signa data* w sposób radykalny wykluczał ideę *równoważności* wyrażen językowych i znaków: bo skoro się dym w stosunku do ognia nazwie znakiem, a nie np. symptomem, albo choćby *nie tylko* symptomem, lecz *także* znakiem, to zawsze znajdują się znaki, które na pewno nie mają charakteru językowego.

W oczywisty sposób na największy sukces mogła liczyć idea *inkluzji* świata wyrażen językowych w świecie *signa data*, a w dalszej kolejności w świecie *signa* w ogóle. I taki sukces ta idea rzeczywiście osiągnęła i osiąga, niezależnie od tego wszystkiego, co powiedziałem wyżej na jej niekorzyść. Przy czym nie było tak, iżby ta wizja wykluczała piękne i oczekiwane *wyróżnienie języka* wśród ogółu znaków. Głównym momentem było tu eksponowanie *uniwersalności* „znaków językowych” oraz faktu, iż język obejmuje swój własny *metajęzyk*, pozwalający mówić, posługując się językiem, o mowie i języku samym. Ten moment był mocno obecny w pismach św. Augustyna, Dantego i innych, a wśród myślicieli XIX–XX wieku zwłaszcza w pismach Peirce’a i Benveniste’a; Benveniste dodawał ponadto, że język odznacza się, w porównaniu z innymi „systemami znaków”, posiadaniem podwójnego wymiaru: nie tylko „semiotycznego”,

lecz także „semantycznego” (terminy Benveniste’a; cokolwiek miały one naprawdę znaczyć). Wszystkie tego rodzaju uzupełnienia nie mogły jednak zmienić faktu, że język traktowano ostatecznie jako podzbiór właściwy wielkiego zbioru znaków (konwencjonalnych). Niezwykle daleko w tym kierunku poszedł Jerzy Pelc (1982); podał on, jak na to wskazywałem w swoim artykule (1988), tak szeroką charakterystykę ‘znaku’, że wchłania ona wiele rzeczy nie nazywanych normalnie znakami, nawet poza wyrażeniami językowymi; te oczywiście znalazły się w *universum* Pelca, wśród mnóstwa innych, jako *stosunkowo* niewielka jego część.

W opisanym tu nurcie plasuje się naturalnie także de Saussure, którego dwustronny *signe linguistique* stał się sztandarowym bytem językowym nowej doktryny. Ten jego osobliwy neologizm stał się dla całych rzesz humanistów XX w., a także nowego stulecia, jakimś tajemnym „kluczem do serca języka” (ciekawe, że *pisany* wyraz został w *Kursie* w ogóle wykluczony z języka!).

Wittgenstein na oznaczenie mniej więcej tego samego wolał stosować wyraz *Symbol*; wyraz *Zeichen* ‘znak’ przeznaczył on do obsługiwanego niewątpliwiej potrzeby oznaczania wtórnie wyodrębnianego czysto *zewnątrznego* kształtu „symbolu” (tzn. tego, do czego w piśmiennictwie rosyjskim często odnosi się zwrot *zwukowaja oboloczka*); tak więc w jego prezentacji ‘znak’ nie był już „czapką” pokrywającą wyrażenia językowe wraz z tłumem innych zjawisk.

Z największą niechęcią (jak można wnioskować z mojego wywodu, niechęcią zasługującą w moich oczach na ogromne uznanie) odniósł się do podporządkowywania słów, wyrażeń językowych, etykietce *znak* W. von Humboldt. Nie zerwał on wszakże całkowicie z tradycją dwóch tysięcy lat. W jego ujęciu można, a nawet trzeba, mówić o pewnym aspekcie funkcjonowania słów jako jego aspekcie „znakowym”; chodziło mu, jak się wydaje, o użytek techniczny, jaki się czyni z wyrażeń. Ale w wielu miejscach pism Humboldta można wyczytać jego odrzucenie hasła „znakowość” jako oddającego *istotę* słów i zwrotów, a także jego skłonność do wyraźnego degradowania pojęcia znaku jako narzędzia charakterystyki języka. Z mojego punktu widzenia swoisty eklektyzm Humboldta w odniesieniu do omawianego tu motywu refleksji teoretycznej nad językiem nie oddawał należycie sprawiedliwości całokształtowi zjawisk, o jakie chodzi. Sprawa wymaga raczej tak radykalnego podejścia, jak to, które wyżej nakreśliłem. Oczywiście tym bardziej na krytyczną ocenę zasługuje Saussure’a uzus nazewniczy wraz

z jego pomysłem „nadrzędnej” semiologii i podporządkowanej lingwistyki. Jest rzeczą ciekawą, że Saussure, tak wiele przejmujący z wizji Humboldta, w punkcie dotyczącym relacji wyrażeń i znaków zdecydowanie odszedł od swego mistrza, i to w kierunku jawnie niekorzystnym. W korzystnym natomiast kierunku, w latach niewiele odbiegających od głównego okresu twórczości teoretycznej de Saussure’a, rozwijał puściznę Humboldta Max Scheler: ten znakomity filozof z całą mocą wydobywał nieredukowalność języka do czegokolwiek poza nim (w tym do znaków w ich zwykłym rozumieniu) oraz (w ślad za Hobbesem i de Bonaldem) jego rolę fundamentu ogółu spraw ludzkich. Godzi się w tym miejscu wspomnieć jeszcze o fakcie, iż w patrystycznej myśli greckiej, a więc półtora tysiąca lat przed Schelerem, dominowała wizja ludzkiego bytowania jako rządzonego przez trójcę trwale zespoloną, choć zachowującą „niezlewanie się” jej członów: przez trójcę w postaci rozumu, duszy i **słowa** (nie: znaku).

W swoim artykule (1988) przedstawiłem pewną dość zdyscyplinowaną konstrukcję pojęciową, która pokrywa może nie wszystkie zwykłe referenty wyrazu *znak*, ale jednak ich większość, oczywiście **nie** obejmując wyrażeń językowych. W tej mierze, w jakiej daje ona ten efekt, i to w sposób dość skrupulatnie uzasadniony, można ją uznać za przyzwoitą *rekonstrukcję* sensu realnego naturalno-językowego wyrazu/pojęcia ‘znak’. Nie będę tu przytaczać ani samej tej konstrukcji, ani jej obszernego uzasadnienia. Wskażę na istotę wyniku uzyskanego na tej drodze a dotyczącego naszego obecnego problemu: problemu relacji „znaki – język”. Głównym filarem wskazanej konstrukcji jest obecność czyjś *powiedzenia* **o** pewnym **typie** przedmiotów **konkretnych**, że będą związane z określonym walorem epistemicznym; to takie przedmioty *konkretne* są idiomatycznie nazywane *znakami*. Taka, jak sądzę, zdroworozsądkowa, wizja wyklucza, pod grozą destrukcyjnego regresu nieskończonego, wszelką możliwość poważnego charakteryzowania samych *powiedzeń* i użytych w nich narzędzi słownych jako „znaków”. Zgadza się to w całej pełni z tą siernięzną prawdą, że nikt (nie zainfekowany przez semiotyków) w życiu codziennym nie powie: „Na tej ścianie widziałem taki oto znak: *Kocham Agatę*”.

W przywołanym tu artykule podałem szereg dalszych istotnych obserwacji utwierdzających tego, kto te obserwacje przemysli, w przekonaniu

o istnieniu potężnego działu wodnego oddzielającego znaki od wyrażeń. Między innymi: znaki mogą być całkiem izolowane, pojedyncze, podczas gdy wyrażenia językowe albo są członami określonego systemu, albo ich w ogóle nie ma. Muszę jednak ewentualnych zainteresowanych prosić o zajrzenie do tamtego mojego tekstu.

Literatura

- Bogusławski A., 1988, *Język i świat znaków*, „Przegląd Humanistyczny”, 12, 133–168.
[Przedruk: Bogusławski A., 1994, *Sprawy słowa / Word Matters*, Warszawa: Veda, 22–48].
- Pelc J., 1982, *Wstęp do semiotyki*, Warszawa: Wiedza Powszechna.